

Gilbert Keith Chesterton

# AUTO BIOGRAFIA



FRONDA  
APOSTOLICUM

# AUTO BIOGRAFIA

Gilbert Keith Chesterton

# AUTO BIOGRAFIA



Tłumaczył  
Maciej Reda

FRONDA  

---

APOS|OLICUM

*Tytuł oryginału*  
Autobiography

*Tłumaczenie*  
Maciej Reda

*Przedmowa*  
Jaga Rydzewska

*Redakcja*  
Grażyna Kurkowska

*Projekt okładki, opracowanie typograficzne i łamanie*  
„Oto-Studio” Piotr Zajączkowski; [www.oto-studio.pl](http://www.oto-studio.pl)

Copyright © 2010 by FRONDA PL Sp. z o.o. Warszawa

**ISBN 978-83-62268-17-7 (FRONDA)**  
**ISBN 978-83-7031-752-2 (APOSTOLICUM)**

*Wydawcy*

**FRONDA PL Spółka z o.o.**  
ul. Łopuszańska 32  
02-220 Warszawa  
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35  
fax (22) 877 37 34  
e-mail: [fronda@fronda.pl](mailto:fronda@fronda.pl)  
[www.wydawnictwofronda.pl](http://www.wydawnictwofronda.pl)

**APOSTOLICUM**  
ul. Wilcza 8  
05-091 Ząbki  
tel. (22) 771 52 00, 11  
fax. (22) 771 52 07  
e-mail: [info@apostolicum.pl](mailto:info@apostolicum.pl)  
[www.apostolicum.pl](http://www.apostolicum.pl)

*Menedżer projektu*  
Wojciech Salwa

*Druk*  
Drukarnia APOSTOLICUM  
tel. (22) 771 52 00

Wydanie I

## Przedmowa

Czego nie znajdziemy w *Autobiografii* G.K. Chestertona? Co autor pominął, o czym nie wspomniał?

Zaczął spisywać wspomnienia około roku 1930. Szybko przerwał – sekretarka, Dorothy Collins, zniechęciła go do dalszej pracy, bo miała przeczucie, że życie Chestertona skończy się wraz z tą książką. Mimo to wziął się znów za *Autobiografię* w roku 1935, zaś ostatnie zdania stworzył na początku roku 1936. Kilka miesięcy później już nie żył.

Nie ma po tym przeczuciu najmniejszych śladów w *Autobiografii*. Książka tchnie pogodą i radością ducha. Chesterton chętnie zresztą wyjawia, skąd wzięła się ta radość. Nie jest bowiem prawdą, że urodził się już ze słonecznym usposobieniem, które zdołało mu ozłocić nieprzyjemny świat. Jego usposobienie, a nawet w znacznym stopniu jego humor, to cechy wypracowane dzięki specyficznemu podejściu do życia. Radość Chestertona opierała się na wdzięczności. Życie jest wspaniałym darem, którym można się szczerze rozkoszować, a gdzieś w muzyce sfer pobrzmiewa śmiech Pana Boga.

Przeciwnicy mieli mu ten światopogląd za złe. Jeśli tyle w Chestertonie pogody, to widocznie dlatego, że żył w jakiejś wieży z kości słoniowej, bez styczności z ponurą prozą życia – twierdzili. Czyżby? Pomijając nawet, że owi skwaśniali krytycy też nie urodzili się w slumsach Trzeciego Świata, można by im wytknąć nieznamość faktów, zarówno psychologicznych, jak i biograficznych.

Po pierwsze, Chesterton miał niezwykle ogład rzeczywistości. Posiadał ogromny dar: umiał dostrzegać i odczuwać przedziwne piękno, ukryte w tym, co inni nazywają szarą codziennością. I choć nie cenił specjalnie swoich wierszy, a w *Autobiografii* ledwo o nich wspomina, poezja przenikała całe jego jestestwo. Nawet brzydkie londyńskie przedmieścia, oglądane przez pryzmat jego umysłu, jawiły się jako sceneria niesamowita i bajkowa. W tym sensie Chesterton rzeczywiście nie znał prozy życia, a może raczej, widząc głębiej niż inni, zdawał sobie sprawę, że żadna proza nie istnieje i że wszystko jest poezją – podobnie jak dzisiejsi fizycy rozumieją, że nie istnieje materia, bo wszystko jest energią. Bóg nie gra w kości, lecz tworzy poematy, i to poematy z wyraźną nutą purnonsensu. Nie bez powodu w wydanej w USA pracy zbiorowej *Wielkie eseje w nauce* umieszczono fragment chestertonowskiej *Ortodoksji*, mówiący o prawach rządzących światem.

Po drugie, popełnimy wielki błąd, oceniając życie Chestertona wyłącznie przez pryzmat jego *Autobiografii*. Gdyby przypadło ono w udziale innemu pisarzowi, moglibyśmy na dokładnie tej samej kanwie uzyskać zupełnie inną opowieść: tragiczną, posępną i bardzo w guście tych, którzy zarzucają Chestertonowi patrzenie

na świat przez różowe okulary. Byłaby to opowieść o zdolnym, wrażliwym człowieku, urodzonym w mieszczańskiej rodzinie z klasy średniej, w samym sercu wiktoriańskiego Londynu – miasta, w którym w owym czasie panowała przerażająca nędza, wisiał smog i grasował Kuba Rozpruwacz. Nasz bohater już w dzieciństwie był zaniedbywany przez roztargnioną matkę, a gdy umarła mu siostra, po raz pierwszy zetknął się ze śmiercią. Miał ambicje malarskie, ale nie skończył uczelni artystycznej; ba, w ogóle nie ukończył żadnej, choć jego mniej zdolni przyjaciele brylowali na znanych uniwersytetach. Jako młody student przechodził przez okres mroczny i niespokojny, pełen mistycznych lęków, które trawiły go tak mocno, że momentami obawiał się o swoje zdrowie psychiczne. Ożenił się z miłości, ale żona okazała się skłonna do ataków depresji i na domiar złego przytrafiały się jej rozmaite rodzinne nieszczęścia; ponadto przez całe życie cierpiała, bo nie mogła mieć dzieci. Przez wzgląd na jej zdrowie musiał opuścić Londyn, choć czuł się tam jak ryba w wodzie, i zamieszkać w niedalekim miasteczku, czyli, z punktu widzenia londyńczyka, na głuchej wsi. Brat, którego bardzo kochał, najpierw zaangażował się w dziennikarstwo śledcze, potem wskutek tego zaplątał się w proces sądowy, kosztujący rodzinę wiele nerwów, a następnie wyruszył jako ochotnik na wojnę, by w momencie, kiedy wojna się skończyła, umrzeć w obcym kraju podczas epidemii. Później była śmierć uwielbianego ojca. Na progu wieku średniego bohater naszej biografii przeszedł przez wielomiesięczną ciężką chorobę, która wypaliła w nim talenty beletrystyczne. A mimo to jego najlepszy druh przez całe życie zazdrościł mu literackiego

powodzenia. Drugi przyjaciel zerwał z nim stosunki z powodów religijnych. Jakby tego było mało, Chesterton ciągle borykał się z problemami finansowymi, co po części wynikało z faktu, że wydawcy notorycznie go oszukiwali, a po części z okoliczności obiektywnych w rodzaju wojny i Wielkiego Kryzysu, przyszło mu bowiem żyć w nielekkich czasach. Gdy sam założył gazetę, zatrudnił w niej ludzi o poglądach tak wyrazistych, że bezustannie tracił zdrowie, wygaszając coraz to nowe konflikty wybuchające wśród jego pracowników. Musiał bezradnie obserwować, jak umiera cywilizacja, dławiona przez rosnące totalitaryzmy, podczas gdy jego własny głos wydawał się głosem wołającego na puszczy. Doskonale widział otaczające go zło. Doprawdy, trudno jest pośądzać o nadmierny optymizm pisarza, który w jednej ze swych alegorycznych powieści ukazał świat jako szpital psychiatryczny, kierowany z naukową precyzją przez profesora Lucyfera, i który na dodatek – *last but not least* – miał problemy zdrowotne: rękę dotkniętą po złamaniu częściowym niedowładem, kłopoty krążeniowe wynikające z nadmiernej tuszy i przez większość życia chroniczne neuralgie twarzy.

Tak by opisał swoje życie pisarz skłonny do narzekań. Tymczasem o większości z tych rzeczy w ogóle nie dowiemy się z *Autobiografii*. Nie żeby autor pragnął je zataić. Uważał je po prostu za mało istotne. Chesterton potraktował sam siebie dokładnie w taki sam sposób, w jaki traktował bohaterów swoich prac biograficznych: Browninga, Shawa czy Blake'a. Nie znajdziemy więc w tej książce prawie żadnych dat – poza datą urodzenia, a nawet o niej udało się autorowi napisać z przymrużeniem oka. Zamiast



ważnych faktów biograficznych otrzymamy zajmujące anegdoty. Dowiemy się sporo o rozmaitych ludziach, ale stosunkowo mało o głównym bohaterze. Własne życie stało się dla Chestertona jedynie pretekstem do ukazania wojny idei.

*Autobiografia* nie jest biografią, lecz zapisem pewnej epoki, wraz z panującymi w niej prądami umysłowymi. Chesterton dowcipnie i lekko przedstawia ówczesny świat, pod wieloma względami uderzająco podobny do świata dzisiejszego. Wspomina ludzi, których znał, a były wśród nich wielkie sławy: politycy, laureaci Nagrody Nobla, ale także postacie kompletnie dziś zapomniane; *sic transit gloria mundi*. Napomyka o krajach, które odwiedził, przy czym ma w sercu ciepłe miejsce dla Polski. Jednak w pierwszym rzędzie książka ta stanowi relację z kolejnych faz duchowego rozwoju – rozwoju pełnego nieoczekiwanych zakrętów.

Maisie Ward, autorka pierwszej i po dziś dzień najważniejszej biografii Chestertona, została po wydaniu owej książki zasypana listami od czytelników, w tym również od literatów, publicystów czy kapłanów, którzy osobiście znali pisarza. „Jedno mnie w tych listach uderzyło – pisała. – Wszyscy zgadzali się, że był wielkim człowiekiem, natomiast nie zgadzali się zupełnie co do tego, na czym polega jego wielkość”. Myślę, że z perspektywy lat możemy dziś powiedzieć, że była to wielkość o wielu różnych aspektach, jak powierzchnia brylantu. A jednym z jej przejawów jest fakt, że pisząc *Autobiografię*, Chesterton stworzył nie tylko potoczystą, ciepłą gawędę, obfitującą w dykteryjki, lecz także opowieść o sprawach najważniejszych.

Jaga Rydzewska



## Rozdział I

# Dowód ze słyszenia

Chyląc czoła, jak mam w zwyczaju, przed autorytetem i tradycją starszych i wierząc ślepo w to, czego nie mogłem wówczas sprawdzić ani rozeznąć, jestem mocno przekonany, że urodziłem się 29 maja 1874 roku na Campden Hill, w londyńskiej dzielnicy Kensington, i otrzymałem anglikański chrzest w kościółku świętego Jerzego, naprzeciwko wielkiej wieży ciśnień górującej nad tym wzniesieniem. Nie dopatruję się żadnego związku między tymi budynkami i stanowczo zaprzeczam, jakoby wybrano ten akurat kościół dlatego, że potrzeba było całej wody zachodniego Londynu, by uczynić ze mnie chrześcijanina.

Wieża ciśnień miała odegrać w moim życiu pewną rolę, o czym napiszę dalej. Opowieść ta dotyczy moich własnych doświadczeń, podczas gdy szczegóły związane z moimi narodzinami, jak już wspominałem, niczym biedny, niedouczony wieśniak przyjmuję na wiarę, tylko na podstawie przekazu ustnego. Zanim jednak przejdę do opisu moich przeżyć, dobrze będzie, jeśli w tym krótkim rozdziale przedstawię kilka innych faktów dotyczących mojej rodziny i środowiska, przyjmowanych

przeze mnie na podstawie równie niepewnego dowodu ze słyszenia. Oczywiście to, co wielu nazywa „dowodem ze słyszenia”, a ja nazywam „świadectwem ludzi”, można kwestionować, jak to czyni metoda historyczno-krytyczna lub teoria przypisująca Baconowi autorstwo dzieł Szekspira. Historia moich narodzin nie musi być prawdziwa. Być może jestem zaginionym potomkiem Świątego Cesarstwa Rzymskiego lub porzuconym przed domem w Kensington przez zbirów z Limehouse<sup>1</sup> niemowlęciem, które odziedziczyło straszne, zbrodnicze skłonności. Do moich narodzin można by zastosować niektóre ze sceptycznych teorii o pochodzeniu wszechświata, a poważny i rzetelny badacz być może dojdzie do wniosku, że nie urodziłem się wcale. Wolę jednak wierzyć, że czytelnicy podzielają mój zdrowy rozsądek i cierpliwie wysłuchają przedstawionych poniżej faktów.

Urodziłem się jako syn szacownych, ale uczciwych rodziców, to znaczy w świecie, w którym słowo „szacowny” nie było jeszcze wyłącznie obraźliwe i miało pewien filologiczny związek z „byciem szanowanym”. To prawda, że już w mojej młodości sens tego określenia się zmieniał. Pamiętam, jak podczas jakiejś rozmowy rodzice użyli go w dwóch znaczeniach. Ojciec, który był pogodny, dowcipny i pełen zainteresowań, stwierdził od niechcienia, że został zaproszony na zebranie rady parafialnej. Na to matka, z natury bardziej żywiołowa, niespokojna i radykalna<sup>2</sup>, wydała z siebie jakby

---

<sup>1</sup> Miejsce we wschodnim Londynie, w gminie Tower Hamlets. W końcu XIX wieku cieszyło się złą sławą z powodu znajdujących się tam licznych palarni opium (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

<sup>2</sup> Pojawiające się w książce określenia „radykalny”, „radykał” i „radykalizm” nawiązują do działalności skrajnego skrzydła dziewiętnastowiecznej Partii Liberalnej.

okrzyk bólu i powiedziała: „Edwardzie, nie idź! Będiesz wtedy taki szacowny! Do tej pory nie byliśmy szacowni i niech tak zostanie”. Pamiętam łagodną odpowiedź ojca: „Moja droga, mówiąc, że nigdy nie byliśmy nawet przez chwilę szacowni, przedstawiasz nas w dość niekorzystnym świetle”. Ci, którzy czytali *Dumą i uprzedzenie*, zauważą, że mój ojciec miał w sobie coś z pana Benneta, natomiast matka z pewnością nie miała w sobie nic z pani Bennet.

Moja rodzina należała do raczej staroświeckiej angielskiej klasy średniej, w której ludziom interesu pozwalano zajmować się własnymi interesami, nie dane im było bowiem poznać współczesnej, wzniosłej wizji przedsiębiorczości, zgodnie z którą przedsiębiorca powinien zrujnować, zniszczyć i wchłonąć swoich rywali. Ojciec opowiadał się za liberalizmem<sup>3</sup> starej daty, wcześniejszym od socjalizmu. Było dla niego oczywiste, że każda osoba myśląca popiera własność prywatną, ale w jego przypadku nie przekładało się to na rzutkość w interesach. Rodzinie zawsze dość dobrze się powodziło, jednak nie była ona zbyt przedsiębiorcza we współczesnym tego słowa znaczeniu. Ojciec stał na czele istniejącej od trzech pokoleń w Kensington firmy, która zajmowała się handlem i rzeczoznawstwem w zakresie nieruchomości. Pamiętam swego rodzaju lokalny patriotyzm i opór starszych pracowników, kiedy młodszy koledzy proponowali założenie filii poza tą dzielnicą. Ów szczególny rodzaj bezpretensjonalnej dumy był bardzo

---

<sup>3</sup> Chodzi o liberalizm reprezentowany przez angielską Partię Liberalną, ostatecznie skonsolidowaną w latach sześćdziesiątych XIX wieku, w wyniku połączenia stronnictw wigów, radykałów i tak zwanych peelitów. Liberalowie opowiadali się za wolnością handlu, własnością prywatną, stopniowym rozszerzaniem prawa wyborczego, równouprawnieniem religijnym i poprawą sytuacji Irlandczyków.

charakterystyczny dla starszego pokolenia przedsiębiorców. Przypominam sobie jedno zabawne nieporozumienie, do którego by nie doszło, gdyby nie owo skrywane samozadowolenie z lokalnego statusu. Zdarzenie to pozwala lepiej zrozumieć atmosferę tamtych odległych czasów.

Mój dziadek, ojciec ojca, był przystojnym starszym panem o siwych włosach i brodzie. W jego sposobie bycia było coś z pełnej ogłady powagi, która towarzyszyła staroowieckiemu zwyczajowi wznoszenia toastów. Kultywował starożytny chrześcijański obyczaj śpiewania przy stole i nikogo nie dziwiło, gdy nucił *The Fine Old English Gentleman* oraz bardziej pompatyczne piosenki z okresu Waterloo i Trafalgaru. W tym miejscu muszę nadmienić, że ponieważ dożyłem nocy, podczas której świętowano wyzwolenie Mafekingu<sup>4</sup>, i nasłuchiłem się późniejszych szowinistycznych tekstów – zachowuję wielki szacunek dla tamtych starych i wzniosłych pieśni patriotycznych, na przykład tej o Wellingtonie i umierającym Wilhelmie IV:

Anioł zwycięstwa niósł go na swych piórach  
Lecz anioł śmierci czekał już na króla.

Sądzę, że z punktu widzenia tradycji języka angielskiego lepsze były tego typu oratorskie strofy niż wycie, które się rozlegało dwadzieścia lat później we wszystkich rewiach:

---

<sup>4</sup> Miasto w Afryce Południowej. W czasie drugiej wojny burskiej przez 215 dni bronił go niewielki oddział pod dowództwem lorda Roberta Baden-Powella. Nadejście odsieczy świętowano w całej Anglii.

Mówią, że zawsze zwyciężamy  
Pytają, jak to osiągamy  
Wtedy z dumą przypominamy  
Że się zwiemy Anglikami.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że godność ma coś wspólnego ze stylem – w każdym razie gesty i piosenki z czasów mojego dziadka miały wiele wspólnego z godnością. Choć jednak nieobcy mu był ceremonialny sposób bycia, musiał się bardzo zdziwić, gdy do biura wszedł nieznajomy mężczyzna i rozmówiwszy się krótko z moim ojcem na temat interesów, spytał ściszym głosem, czy mógłby dostąpić zaszczytu poznania sędziwego przodka, a zarazem poprzedniego dyrektora firmy. Następnie zwrócił się do dziadka, jak gdyby ten był swego rodzaju świątynią, ukłonił się głęboko i wygłosił pełne czci apostrofy. „Jest pan pomnikiem – powiedział. – Jest pan punktem zwrotnym”. Zadowolony z pochlebstwa dziadek odparł uprzejmie, że z pewnością mieszka w Kensington nie od dziś. „Jest pan postacią historyczną – rzekł z uznaniem przybysz. – Odmienił pan losy Kościoła i państwa”.

Dziadek wciąż beztrząsco przypuszczał, że być może nieznajomy w poetycki sposób opisuje świetnie funkcjonującą firmę kupiecką, ale ojciec, który dobrze się orientował w różnych grupach wewnątrz Kościoła anglikańskiego, przypomniał sobie o sprawie Westerton *versus* Lidell, w której protestancki administrator pewnego kościoła oskarżał pastora o jedną z najcięższych zbrodni papizmu – noszenie komży.

„Mam jedynie nadzieję – ciągnął dalej gość, wciąż zwracając się do protestanckiego bohatera – że nabożeństwa w kościele parafialnym odprawiane są tak, jak pan sobie tego życzy”. Dziadek odparł na to grzecznie, że nie obchodzi go, jak są odprawiane. Po tych niezwykłych słowach protestanckiego bohatera jego wielbiciel oniemiał. Wtedy zainterweniował mój ojciec i wyjaśnił, na czym polegało nieporozumienie, wskazując na subtelny różnicę między nazwiskiem Westerton i Chesterton. Dziadek – kiedy przypomiano mu tę historię – zawsze się upierał, że do zdania: „Nie obchodzi mnie, jak są odprawiane”, dodał jeszcze wyjaśnienie (które powtarzał, wykonując poważny gest ręką): „O ile są odprawiane pobożnie i szczerze”. Niestety, młodsze pokolenie sceptyków uznało to za późniejszą interpolację.

Rzecz jednak w tym, że dziadek był zadowolony, a jednocześnie niezbyt zdziwiony, gdy nazwano go „pomnikiem” i „punktem zwrotnym”. W tamtym odległym świecie było to typowe dla wielu przedstawicieli klasy średniej, nawet tych, którzy posiadali niewielkie przedsiębiorstwa. Ten szczególny rodzaj brytyjskiego mieszczaństwa tak bardzo się zmienił czy też skurczył, że dzisiaj już właściwie nie istnieje. Przynajmniej niczego podobnego nie ma w Anglii i nigdy, jak sądzę, nie było w Ameryce. Jedną z charakterystycznych cech klasy średniej było to, że naprawdę była klasą i znajdowała się rzeczywiście pośrodku – oddzielona na dobre i na złe, często przesadnie, od warstwy wyższej i niższej. Mieszczanie wiedzieli zbyt mało o klasie robotniczej, co miało doprowadzić do poważnych konsekwencji w następnym pokoleniu. Wiedzieli też zbyt mało o własnych służących. Moja rodzina była zawsze



dobra dla służby, jednak klasa średnia, jako taka, nie okazywała ani szorstkiej poufałości, widocznej w Europie u zgiełkliwych i przeklinających gospodyń domowych, ani też pozostałości feudalnej życzliwości spotykanej wśród prawdziwej arystokracji. Można się było natomiast spotkać z pewnym milczeniem i zakłopotaniem, co ilustruje inna zasłyszana anegdota, którą dołączam do opowieści o protestanckim bohaterze. Pewna kobieta z mojej rodziny zamieszkała na czas nieobecności swojej znajomej w jej domu. Usługiwała jej wyższą rangą służąca. Moja krewna sądziła, że służąca gotuje dla siebie osobno, podczas gdy tamta była mocno przekonana, że powinna jeść to, co zostanie z posiłków jej pani. Służąca kazała przygotować na śniadanie, powiedzmy, pięć plasterków bekonu – więcej, niż zjadała pani. Ta jednak, jak to bywało u pań w tym okresie, miała by skrupuły, gdyby cokolwiek się zmarnowało, nie rozumiejąc, że to, co się je bez apetytu, również się marnuje. Zjadła zatem pięć plasterków. Następnym razem służąca posłała siedem. Pani nieco zbladła, ale spełniła swój obowiązek i zjadła wszystkie. Służąca, która też chciała zjeść śniadanie, posłała dziewięć lub dziesięć plasterków. Pani, zebrawszy wszystkie siły, znów stanęła na wysokości zadania. Trwało to dalej, jak sądzę, za sprawą kurtuazyjnego milczenia dzielącego dwie klasy społeczne. Strach pomyśleć, czym się to mogło skończyć. Nasuwa się logiczny wniosek, że służąca umarła z głodu, a pani pękła z przejedzenia. Sądzę jednak, że zanim do tego doszło, nastąpiła jakaś wymiana informacji między dwiema osobami mieszkającymi na różnych piętrach tego samego domu. Z pewnością tamtemu światu można zarzucić to, że domowe zaufanie nie rozciągało się na służących.

Uśmiechał się on i wywyższał, słysząc o wasalach starego świata, którzy zajmowali ostatnie miejsca przy stole, a jednocześnie wynosił się ponad własnych wasali, którzy jadał piętro niżej.

Możemy krytykować starą klasę średnią i chętnie przyłączyć się do nieśmiertelnych słów Pieśni Przyszłości, które podobno brzmiały tak:

Walkę klas podejmiemy bez żadnej kurtuazji  
Aż zegną się przed nami karki burżuazji.

Powinniśmy jednak oddać klasie średniej historyczną sprawiedliwość. Pamiętajmy o tym, że „zdobycze kulturalne” tej warstwy oraz fakt, że była ona rzeczywiście wykształcona, powodowały przesadny lęk przed wpływem służących. Mieszczaństwo przykładało nadmierną wagę do poprawnej pisowni i do poprawnego mówienia. Rzeczywiście pisano i mówiono poprawnie. Był to świat, w którym niewymówienie głoski „h”<sup>5</sup> było tak samo nieprawdopodobne, jak otrzymanie tytułu szlacheckiego. Szybko zauważyłem, że starsi najbardziej obawiali się naśladowania intonacji i sposobu wysławiania się służby. Mówiono mi (to kolejna zasłyszana anegdota), że kiedy miałem trzy lub cztery lata, krzyczałem, by mi dano wiszący na kołku kapelusz. Targany konwulsjami gniewu, w końcu zagroziłem – z dziecięcą przewrotnością – że opuszczę „h”. Byłem pewien, że rzuci to na kolana wszystkich moich krewnych w promieniu kilku mil.

---

<sup>5</sup> Niewymawianie głoski „h” jest typowe dla osób niewykształconych.

Dbłość o edukację i język naprawdę miała swoją pozytywną stronę, mimo że dzisiaj byłbym skłonny z wielu powodów ją krytykować. Dzięki niej mój ojciec poznał gruntownie całą literaturę angielską, a ja sporą jej część – i to na długo przed tym, zanim mogłem ją rozumieć. Potrafiłem recytować z pamięci całe strofy pisane szekspirowskim białym wierszem, nie mając pojęcia, o czym one mówią; być może to właściwy sposób, by nauczyć się rozumieć poezję. W wieku sześciu czy siedmiu lat przewróciłem się na ulicy, kiedy w zapamiętaniu powtarzałem słowa:

Synu mój, skończ z tą mroczną miną  
I spójrz na króla przyjaźniejszym okiem.  
Czy zawsze będziesz spod spuszczonej powiek  
Śladów po ojcu wypatrywał w prochu?<sup>6</sup>

Być może jeszcze mniej zdajemy sobie sprawę z tego, że klasa społeczna, o której mówię, była nie tylko odcięta od tak zwanych klas niższych, ale równie mocno od tak zwanych sfer wyższych. Nie chcąc nikogo urazić, mogę stwierdzić, że od tamtej pory podzieliła się ona na dwie wielkie grupy: snobów i ekscentryków. Pierwsi to ci, którzy chcą się dostać do kulturalnego towarzystwa, natomiast drudzy pragną z niego uciec do różnych towarzystw; mam na myśli towarzystwa wegetariańskie, socjalistyczne i inne tego rodzaju. Jednak ludzie, o których piszę, nie byli ani dziwakami, ani snobami. Oczywiście w owym czasie było wielu snobów,

---

<sup>6</sup> Z *Hamleta* w przekładzie Stanisława Barańczaka.

ale ci, których mam na myśli, wcale nie mieli ambicji poznawania arystokracji, chyba że w interesach. Posiadali cechę dziś już w Anglii prawie niespotykaną: własną dumę.

Prawie całe Kensington było i jest rozplanowane jak diagram lub mapa ilustrująca szkice Thomasa Macaulaya<sup>7</sup>. Czytaliśmy, rzecz jasna, prace tego autora i żyjąc w naszym odosobnieniu, często nawet w nie wierzyliśmy. Zналиśmy nazwiska wielkich arystokratów ze stronnictwa wigów, którzy przeprowadzili rewolucję (i przy okazji dorobili się fortuny). Ich imiona były wypisane wielkimi literami na wszystkich posiadłościach w Kensington. Codziennie mijaliśmy Holland House<sup>8</sup>, w którym bywał Macaulay, i pomnik lorda Hollanda<sup>9</sup>, na którym nie omieszkało umieścić z dumą informacji, że Holland był bratankiem Foxa i przyjacielem Greya. Ulica niedaleko naszego domu nosiła nazwisko Addisona, a ulica naszego późniejszego pobytu – nazwisko Warwicka, pasierba Addisona. Dalej była ulica nazwana na cześć Russella, na południe zaś – na cześć Cromwella. Nieopodal naszego pierwszego domu na Campden Hill była ulica nosząca wspaniałe nazwisko Argyll<sup>10</sup>. Wszystkie te nazwiska przyprawiły mnie o dreszczyk emocji, podobnie jak każdego chłopca czytającego Macaulaya. Nie przyszło mi jednak do głowy, by poznać ludzi, którzy je nosili, wcale tego nie pragnąłem. Pamiętam, że bardzo rozśmieszyłem

---

<sup>7</sup> Thomas Babington Macaulay (1800-1859) – historyk i polityk ze stronnictwa wigów, autor kilku tomów szkiców historycznych.

<sup>8</sup> Rezydencja w Kensington, w XIX wieku miejsce spotkań elity literackiej i politycznej.

<sup>9</sup> Holland, Fox, Grey, Addison i Russell to prominentni politycy partii wigów.

<sup>10</sup> Szkocki ród parów i książąt.

ojca, gdy opowiedziałem mu o starej szkockiej balladzie zawierającej słowa: „Wybuchł wielki spór między Argyllem i Airlie'em”, jako handlarz nieruchomościami wiedział on bowiem, że dom lorda Airlie'ego znajdował się bardzo blisko domu Argylla i że bardzo prawdopodobny był wielki spór między nimi, wiążący się właśnie z jego branżą. Ojciec znał starego księcia Argylla na stopie czysto zawodowej i pokazał mi jako ciekawostkę jego list, który dla mnie był jednak niczym więcej niż wspaniały eksponat muzealny. Nie myślałem o tym, że McCallum More może w jakikolwiek sposób wkroczyć w moje życie, tak jak się nie spodziewałem, że Graham z Claverhouse<sup>11</sup> podjedzie któregoś dnia na swym wielkim czarnym koniu pod drzwi wejściowe, a Karol II wpadnie na herbatkę. Traktowałem księcia mieszkającego w Argyll Lodge jako postać historyczną. Moja rodzina interesowała się arystokracją, była ona bowiem częścią historii. Warto o tym wspomnieć, bo właśnie to rozróżnienie tłumaczy spór, o którym napiszę dalej. Po latach miałem okazję uczestniczyć w politycznej awanturze o sprzedaż tytułów para. Wiele osób wtedy mówiło, że marnują energię, zajmując się tą sprawą. Ale tak nie było. Tytuły miały ogromną wartość, a ja akurat jestem w takim wieku, że potrafię zrozumieć, jak bardzo straciły na znaczeniu. Gdybym darząc lorda Lorne'a historycznym szacunkiem, spotkał niegdyś nieznanego mi lorda Leatherheada, również bym go szanował jako kogoś związanego z historią. Gdybym spotkał go teraz, mógłbym

---

<sup>11</sup> John Graham of Claverhouse, 1. wicehrabia Dundee (ok. 1649-1689) – przywódca powstania jakobitów w 1689 roku. Jeden z bohaterów powieści *Old mortality* Waltera Scotta.

się domyślać, że jest właścicielem lombardu w jakiejś zapadłej dziurze w Europie. Honorów nie sprzedano – zniszczono je.

Warto tu wspomnieć o pewnej znaczącej rodzinie, która korzystała niegdyś, i wciąż korzysta, z usług firmy mojego ojca. Myślę o Phillimore'ach, właścicielach dużej posiadłości w Kensington, należącej wtedy do dwóch braci piastujących ważne funkcje publiczne: admirała Phillimore'a, który zmarł dawno temu, i sędziego Phillimore'a, jednego z najsłynniejszych przedstawicieli swojej profesji, który zmarł później. Nie zadawaliśmy się z takimi ludźmi, nawet nie staraliśmy się tego robić, ale pamiętam niejedno zupełnie niezależne świadectwo o wspaniałomyślności starego admirała. Wspominam jednak o tej rodzinie z innego powodu. Otóż nazwisko Phillimore miało w pewien dziwny, podwójny i raczej ironiczny sposób zapisać się w moim późniejszym życiu. Admirała nigdy nie widziałem, ale jego syna, będącego w moim wieku, miałem po latach poznać, umiłować i stracić jako przyjaciela oraz sojusznika w sprawie, która wtedy wydawała się niezwykle odległa od naszego dzieciństwa. Przed sędzią natomiast składałem zeznania w obronie mojego brata, oskarżonego przed sądem karnym w Londynie i skazanego za patriotyzm i ducha obywatelskiego.

Rodzina mojej matki nosiła francuskie nazwisko, ale wiem zarówno z własnego doświadczenia, jak i z opowieści, że moi krewni byli na wskroś angielscy i w mowie, i w obyczajach. W rodzinie krążyła legenda mówiąca o tym, że byli oni potomkami francuskiego szeregowego z czasów rewolucji, który znalazł się w Anglii jako więzień, i w niej pozostał. Z drugiej strony jednak matka miała szkockie korzenie – pochodziła z rodziny Keithów

z Aberdeen. Z kilku powodów, po części dlatego, że moja babka ze strony matki żyła o wiele dłużej niż jej mąż i posiadała magnetyzującą osobowość, a po części z powodu pewnej żywołości szkockiej krwi i patriotyzmu, ów związek ze Szkocją bardzo mnie w dzieciństwie fascynował. Ale interesującą osobą i historycznym typem człowieka, o ile nie postacią historyczną, musiał być także mój dziadek ze strony matki, którego nigdy nie widziałem. Był on świeckim kaznodzieją metodystycznym i dlatego brał udział w publicznych sporach (cecha ta przeszła na jego wnuka). Był także jednym z liderów wczesnego ruchu abstynenckiego (tej cechy nie odziedziczyłem). Jestem jednak przekonany, że reprezentował sobą więcej niż to, co wiąże się z publicznymi przemowami i ruchem abstynenckim. Wskazują na to jego dwie rzucone mimochodem uwagi – jedyne, o jakich słyszałem. Pewnego razu, gdy jego synowie wypowiadali się przeciwko modzie i konwenansom, jak to jest w zwyczaju liberalnej młodzieży, powiedział nagle: „Tak, mówią tyle o modzie, ale przecież moda to cywilizacja”. W drugim przypadku to samo wschodzące pokolenie dawało upust tego rodzaju pesymizmowi, który jest możliwy tylko w szczęśliwym czasie młodości. Krytykowało ogólne dziękczynienie zawarte w modlitewniku Kościoła anglikańskiego, zauważając, że ludzie mają na ogół niewiele powodów, by dziękować Bogu za to, że ich stworzył. I wówczas ten stary człowiek, tak stary, że prawie w ogóle nie mówił, nagle się odezwał: „Dziękowałbym Bogu, że mnie stworzył, nawet gdybym wiedział, że będę potępiony”.

O rodzinie ze strony ojca powiem może później, kiedy dojdę do własnych wspomnień. Najpierw piszę jednak o rodzinie matki,

na jej temat bowiem słyszałem o wiele więcej z drugiej ręki, a ta część niniejszej książki musi być z konieczności biografią, a nie autobiografią. Rozdział ten opowiada o tym, co było tuż przede mną i rzuciło jedynie cień na sam początek mojej drogi i co widziałem raczej w odbiciu niż w rzeczywistości. Było tego więcej po stronie mojej matki; być może stąd wynikało moje zainteresowanie historią rodu Keithów i Argyllów. Jednak po stronie ojca również nie brakowało legend. Najbliższą i najwybitniejszą postacią był kapitan Chesterton, który zasłynął jako reformator więziennictwa. Był znajomym Dickensa i – jak sądzę – sam przypominał dickensowskiego bohatera. Owe wspomnienia i pogłoski rzeczywiście sugerują, że w czasach Dickensa było całkiem sporo dickensowskich postaci. Daleki jestem od zaprzeczania nasuwającemu się wnioskowi, że spora liczba dickensowskich postaci to obłudnicy. Moje pochwały pod adresem starej wiktoriańskiej klasy średniej byłyby nieuczciwe, gdybym nie przyznał, że czasami cechowała ją żałosna i napuszona hipokryzja. Pewien poważny znajomy mojego dziadka chodził w niedziele na spacer z modlitewnikiem w dłoni, wcale nie zamierzając iść do kościoła. Swoje zachowanie tłumaczył spokojnie z podniesioną dłonią: „Daję w ten sposób przykład innym”. Człowiek, który tak postępował, był niewątpliwie postacią dickensowską. Myślę jednak, że (jako taki) był pod wieloma względami lepszy niż niejeden współczesny. Niewielu bowiem współczesnych, mimo swojego fałszu, odważyłoby się na taką bezwstydną. Poza tym wcale nie jestem pewien, czy tak naprawdę nie był on autentyczniejszy niż współcześni, którzy mówią wymijająco, że mają wątpliwości albo że nie cierpią kazań, podczas



gdy tak naprawdę chcą w tym czasie pograć w golfa. Hipokryzja wydaje się szersza, w każdym razie odważniejsza.

Tamta epoka emanowała czymś, co mogę jedynie nazwać wielką radością i entuzjazmem – czymś, co dzisiaj przypominają tylko zabawne cytaty ze Swivellera<sup>12</sup> i Micawbera<sup>13</sup>. Chodzi jednak o to, że wówczas można było to zauważyć u wielu wartościowych i mało znanych osób, z pewnością bardziej wartościowych niż rażąco obłudny mężczyzna z modlitewnikiem i o wiele mniej znanych niż ekscentryczny, ale skuteczny, a nawet wybitny naczelnik więzienia i reformator. Ów ton epoki był widoczny nie tylko u dżentelmenów. Był on, jak sądzę, efektem powszechnego poczucia humoru, które być może jest naszą jedyną naprawdę popularną instytucją, czerpiącą z retoryki osiemnastowiecznych mówców i dziewiętnastowiecznych poetów, takich jak Byron czy Moore. W każdym razie cecha ta niewątpliwie występowała wśród niezliczonej rzeszy przeciętnych ludzi, a zwłaszcza urzędników. Później zaczęli się oni jawić jako pospolici londyńczycy, mówiący dziwną angielszczyzną – nadłamaną raczej niż łamaną. Byli jednak tacy, którzy wygłaszali zdania krągłe jak świąteczne półmiski i wazy do ponczu. Ojciec opowiadał mi kiedyś o swoim znajomym z czasów młodości, który wychodząc z karczmy, rzekł dostojnym, tubalnym głosem: „Powiedz pani Bayfield, że stek był wspaniały, ziemniaki w sam raz, jednym słowem – ucza prawdziwie królewska”. Czyż nie brzmiał on dokładnie jak F.B.

---

<sup>12</sup> Dick Swiveller – postać z *Magazynu osobliwości* Charlesa Dickensa.

<sup>13</sup> Wilkins Micawber – poczciwy nieudacznik z powieści *Dawid Copperfield* Dickensa.

z powieści Thackeraya<sup>14</sup>, kiedy ten jest najbardziej dickensowski? Z tych samych zamierzchłych lat przypominam sobie inną całkiem dickensowską scenę: niskiego mężczyznę w okularach, nijakiego, o okrągłej twarzy, który zawsze bywa obiektem kpin, oraz jego kolegę o nazwisku Carr, miewającego tajemnicze nastroje. Obaj są duchami z czasów, kiedy ojciec odbywał praktykę. Raz po raz ów bardziej posępny pracownik wołał przez całe biuro: „Panie Hannay!”. Wtedy pojawiała się niezmiennie okrągła, uśmiechnięta twarz okularnika, zastygła w oczekiwaniu: „Tak, panie Carr?”. W tym momencie Carr mierzył go sfinksowym spojrzeniem i mówił głucho, ale donośnie: „Bezkresna przestrzeń!”, po czym odwracał się nieco energiczniej do pozostałych pracowników, kręcąc głową i powtarzając beznadziejnym tonem: „Nic nie rozumiem!”. Nie wiem, czy któremuś z nich przyszło do głowy, że do biura mógłby wejść profesor Einstein i pomścić Hannaya, wyjaśniając, że przestrzeń wcale nie jest bezkresna. Chodzi o to, że żarty, a nawet figle, miały w sobie element pompatozności i rytuału. Tak samo zresztą jak oszustwa. Wiedziały o tym niższe warstwy społeczne, złodzieje, a nawet monstra, z czego dobrze sobie zdawał sprawę Dickens. Handlarze tandetą żądający pieniędzy mieli w sobie godność oratorów domagających się sławy. Pamiętam, że jako małe dziecko patrzyłem z balkonu na jedną z głównych ulic jakiegoś kurortu i na przechadzającego się po niej sędziwego mężczyznę o siwych włosach, który uroczyście

---

<sup>14</sup> William Makepeace Thackeray (1811-1863) – pisarz, znany głównie jako autor *Targowiska próżności*, satyry na dziewiętnastowieczne społeczeństwo angielskie. F.B. to inicjały Fredericka Bullocka, jednej z pobocznych postaci tej powieści.

zdejmował biały kapelusz i mówił głośno niczym prelegent, nie zwracając się do nikogo konkretnego: „Kiedy pierwszy raz przyjechałem na Cannon Street, o przepraszam, na Cannon Place...”. Powtarzał to przestawienie codziennie, zawsze popełniając ten sam błąd i tak samo przepraszając. Sprawiało mi to, nie wiem dlaczego, ogromną przyjemność, być może z powodu tego, że wydawało mi się, iż do przedstawienia odgrywanego w naszej pamięci, jak to określa Maurice Baring<sup>15</sup>, dołączyła gigantyczna mechaniczna lalka. Co ciekawe, dalsza część wypowiedzi tego człowieka była o wiele bardziej wytworna i nienaganna; zawsze na końcu pięknie mówił on o tym, że w dalekiej przyszłości i w godzinie śmierci przypomni sobie „życzliwość, z jaką spotkał się na Cannon Place”. Pamiętam, jak później po tych samych nadmorskich alejkach paradowała jeszcze bardziej gadatliwa postać, ubrana w strój akademicki, ale posiadająca, jak się obawiam, niewielki autorytet naukowy. Wydaje mi się jednak, że człowiek ten pojawił się znacznie później, ponieważ był zgryźliwy i wrogo nastawiony. Nazywał swoich słuchaczy hipokrytami i pobielanymi grobami, na co ten bardzo angielski tłum, o dziwo, wrzucał mu do biretu pensy. Jednak w czasach, które opisuję, nikomu nie zbywało na uprzejmości i towarzyskości. Ludzie byli zadziwiająco cierpliwi, co prawda nieco napuszeni, ale mili; nawet drwiny brzmiały jowialnie. Wciąż pamiętam ten komizm i heroizm, ale nie była to już heroikomiczność. Każdy jednak, kto słyszał o ludziach, o których wspominam, lub ich samych, będzie pewien do samej

---

<sup>15</sup> Maurice Baring (1874-1945) – poeta, pisarz, tłumacz i eseista. W 1909 roku przyjął katolicyzm.

śmierci, że Dick Swiveller na pewno powiedział: „Gdy ten, co cię uwielbia, imię zostawia jeno – imię zostawia jeno... w wypadku, gdyby przyszły listy albo paczki”, albo że biedny pan Feeder<sup>16</sup> rzeczywiście szeptał każdej damie na przyjęciu: „Nawet gdyby me serce było fałszywe, nie mógłbym cię zranić”. Był w tym blask nie do podrobienia przez skrzące się światła. Świat nie jest już tak wesoły, utraciłszy tę powagę.

Inna prawdziwie wiktoriańska cnota, której nie zdyskredytuje wiele zmyślonych wiktoriańskich cnót, charakteryzuje nie tyle moje pokolenie, ile generację mojego ojca i dziadka, a może nawet i ich samych. Dlatego w tym miejscu wypada mi o niej wspomnieć, przywołując wydarzenia zapisane w pamięci. Otóż moja rodzina kierowała się w interesach wielką uczciwością i wydaje mi się, że wtedy w owej statecznej klasie przedsiębiorców standard ten był wyższy niż w późniejszych czasach, kiedy pojęcie sukcesu zostało zabarwione cynizmem z dziwną domieszką pirackiej romantyczności. Można wyczuć tę zmianę w samym znaczeniu niektórych słów, choćby słowa „szacowny”. Obecnie ideałem w moralności, a nawet w religii – zwłaszcza w religii spopularyzowanej w gazetach dla milionów nowoczesnych ludzi interesu – jest słowo „przygoda”. Dla przedsiębiorców z dawnej klasy średniej najgroźniejszym moralnym potworem był ktoś określany mianem „poszukiwacza przygód” lub „kombinatora”. Sądzę, że obecnie świat broni różnych całkiem niewybaczalnych postępów, usprawiedliwiając je urokiem przygody. W każdym razie nie

---

<sup>16</sup> Postać z powieści Dickensa *Dombey i syn*.

jest to jedynie moja spóźniona opinia w wieku reakcji, tak uważali bowiem nawet najlepsi ze starych optymistów i ortodoksyjnych ekonomistów, którzy żyli, gdy rozpoczynały się te przemiany, i którzy sądzili, że żyją w wieku reform. Mój ojciec i stryjowie pochodzili z czasów, kiedy wierzono w postęp i generalnie w nowe rzeczy, tym bardziej, że coraz trudniej było wierzyć w rzeczy stare, a czasem w cokolwiek. Jednak mimo że jako liberałowie wierzyli w postęp, to jako uczciwi ludzie często przyznawali, że obserwują regres.

Ojciec opowiadał mi o tym, jak bardzo zaczęły mu dokuczać chmary ludzi domagających się prywatnych prowizji od transakcji, w których mieli oni reprezentować kogoś innego. Wspominał o tym zawsze z największym obrzydzeniem, ale mniej więcej tak, jak gdyby to była nowość, a nie tylko utrapienie. Sam miał w zwyczaju zwracać się do tych nieprzyjemnych osób z udawaną dla żartu serdecznością, a nawet wesołością. Była to jedna z niewielu okazji, kiedy jego humor można by nazwać czarnym, a nawet brutalnym. Gdy agent negocjujący na rzecz strony trzeciej dawał do zrozumienia, że pewna drobna sumka ułatwiłaby rozmowy, ojciec mówił mu z onieśmiałą serdecznością: „Ależ oczywiście, oczywiście! Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi, wszystko jest jawne i uczciwe! Jestem pewien, że pana zleceniodawcy i pracodawcy będą zachwyceni, kiedy im powiem, że płacę panu małą...”. W tym momencie uprzejmy, dyplomatyczny dżentelmen przerwał mu z okrzykiem przerażenia i pospiesznie się wycofywał. „Czy nie jest to przypadkiem dowód – ciągnął niewinnie i rzeczowo ojciec – niemoralności pańskiej propozycji?”.

Mój stryj Sidney, partner ojca w firmie, był bardziej wiarygodnym świadkiem, jako że był świadkiem bardziej niechętnym. Ojciec posiadał wszechstronne zainteresowania i bardzo umiarkowane poglądy. Był jedną z niewielu znanych mi osób, które naprawdę słuchały argumentów drugiej strony. Ponadto w epoce liberalizmu był bardziej tradycyjny niż inni i kochał wiele starych rzeczy. Pasjonowały go zwłaszcza francuskie katedry i cała goetycka architektura, która stała się wówczas popularna za sprawą Johna Ruskina<sup>17</sup>. Niewykluczone, że dostrzegał inną stronę postępu. Stryj był jednak przeciwieństwem *laudator temporis acti*. Należał do tych wrażliwych i skrupulatnych ludzi, bardzo typowych dla współczesnego mu świata, którzy czuli się zobowiązani przyjmować to, co nowe, i sympatyzować z młodymi, tak samo jak starsi moralisci pragnęli zachować to, co stare. Pamiętam, jak stryj zapewniał mnie z przejęciem o budzących nadzieję myślach, którymi napełniły go optymistyczne i wzniosłe proroctwa zawarte w książce *Patrząc wstecz*<sup>18</sup>. Tytuł był dość ironiczny, zważywszy, że takim futurystom nie wolno było spoglądać za siebie, bo cała filozofia, później wysublimowana przez geniusz Herberta George'a Wellsa<sup>19</sup>, nakazywała patrzeć w przyszłość. Stryj, o wiele bardziej niż ojciec, uznawał optymizm za sprawę honoru i jako

---

<sup>17</sup> John Ruskin (1819-1900) – krytyk i teoretyk sztuki, publicysta społeczny.

<sup>18</sup> Chodzi o powieść *Looking backward: 2000-1887* Edwarda Bellamy'ego z 1888 roku, przedstawiającą wizję socjalistycznej utopii. Polskie tłumaczenie ukazało się w 1891 roku pod tytułem *Z przeszłości 2000-1887 r.*

<sup>19</sup> Herbert George Wells (1866-1946) – powieściopisarz, jeden z pionierów powieści fantastycznonaukowej. W swojej twórczości wyrażał wiarę w postęp naukowy i społeczny. W odpowiedzi na jego *Historię świata*, napisaną z ewolucjonistycznego punktu widzenia, Chesterton opublikował książkę *Wiekisty człowiek*.

ostatni wyrażałby tęsknotę za starymi dobrymi czasami. Był jednak także całkiem szczery i pamiętam, że powiedział mi kiedyś ze zmartwioną twarzą, na której malował się podświadomy niepokój: „Muszę stwierdzić, że przez całe życie obserwuję ciągły zanik moralności w interesach”.

Oczywiście przynaję, albo raczej chlubię się tym, że jeśli chodzi o sympatie wobec tego rodzaju utopii, osoby takie jak mój stryj wyprzedzały swoje czasy. Ale jeszcze bardziej chlubię się tym, że pozostawały w tyle, jeśli chodzi o ówczesny rozwój wielkiej finansjery. Ich klasa jako całość była rzeczywiście niebezpiecznie głucha i ślepa na kwestię wyzysku ekonomicznego, ale o wiele bardziej wyczulona i wrażliwa na problem przyzwoitości w interesach. Tym ludziom nigdy nie przyszłoby do głowy, by podziwiać kogokolwiek za „śmiałość” w spekulacjach, tak samo jak kobietę za „śmiały” strój. W obydwu przypadkach mieliśmy do czynienia z tą samą zmianą atmosfery. Wiele wspólnego z tym miał brak ambicji społecznych. Tam, gdzie ograniczenia były rzeczywiście sztywne i głupie, brały się one przeważnie z ignorancji. Nie było jednak nic gorszego i bardziej zgubnego niż nieświadomość rzeczywistych krzywd i praw klasy robotniczej. Bóg mi świadkiem – a może też niektórzy czytelnicy – że nie należę do wielbicieli pełnego samozadowolenia, dziewiętnastowiecznego dobrobytu Anglii. W najlepszym wypadku był to indywidualizm, który ostatecznie zniszczył indywidualność, i industrializm, który skaził najgłębsze znaczenie słowa „przemysł”. W najgorszym przypadku dobrobyt ów zmienił się w końcu w ordynarny triumf wyzysku i oszustwa. Zwracam jedynie uwagę na fakt, że jeśli nawet

jakaś konkretna grupa czy klasa, która obecnie nie istnieje, była nieświadoma wyzysku lub obojętna wobec niego, to naprawdę oburzało ją oszustwo. Mało kto oskarżył mnie o purytyzm, sądzę jednak, że należy oddać sprawiedliwość tradycji purytańskiej i podkreślić, że pewne poglądy na temat społecznego umiarkowania przyczyniły się do opóźnienia triumfu krzykliwej finansjery i obłudnej chciwości. Niemniej jednak klasa średnia, która dotąd sądziła, że przedsiębiorca dobrze dba o finanse, jeśli jest ostrożny i bez polotu, teraz zaczęła uważać, że pomnoży on pieniądze, jeśli będzie obrotny i światowy. Nikt nie zadaje sobie pytania, dla kogo ów przedsiębiorca pomnoży pieniądze albo czyje pieniądze otrzyma.

Miałem szczęście – dobrze o tym wiem – że trafiłem na taką rodzinę, jak moja. Jednak nawet tych, którzy nie byli takimi szczęściarzami, nie dotykały nieszczęścia dziś nazywane „wiktoriańskimi”. Co ciekawe, we współczesnym znaczeniu tego słowa, okres wiktoriański wcale nie był wiktoriański. Był to czas rosnącego napięcia, będącego przeciwieństwem statecznej przyzwoitości, a to dlatego, że jego etyka i teologia ciągle się wyczerpywały. Można by go porównać z tym, co przyszło potem, ale nie z wiekami wcześniejszymi. Czasami mówi się, że okres wiktoriański był domowy, ale dom Anglika nie był w połowie tak domowy, jak dom wstrętnego obcokrajowca – rozrzutnego Francuza. Anglik wysyłał swoich synów do szkoły z internatem, a wszystkich służących ignorował. Nie rozumiem, dlaczego ktoś stwierdził, że dom Anglika jest jego twierdzą, skoro ów Anglik był jednym z wielu Europejczyków, którzy nawet nie byli właścicielami swych



domów, a dom, w którym mieszkał, był nieciekawym pudełkiem z cegieł, zupełnie nieprzypominającym twierdzy. Przede wszystkim jednak dom ten wcale nie był ortodoksyjnie religijny; przeciwnie – to właściwie pierwszy w historii dom niereligijny. Było to pierwsze pokolenie, które kazało swoim dzieciom czcić ognisko domowe bez ołtarza. Dotyczyło to zarówno tych, którzy szli o jedenastej do kościoła, gorliwiej niż wesoły oszust z modlitewnikiem, jak i tych, którzy w kwestiach religijnych byli pobożnymi agnostykami albo liberałami, jak większość mojego środowiska. Życie rodzinne zostało pozbawione świąt, świątyn i prywatnych kultów, które w przeszłości dodawały mu poezji. Kiedyś mówiono żartobliwie o potężnym ojcu i jego potężnych meblach jako o domowych bóstwach. W rzeczywistości mieliśmy do czynienia z pierwszym człowiekiem, dla którego nie istniały już inne domowe bóstwa niż meble.

Taka była ta nieciekawa strona. Ale była też strona ciemna, o której mówi się z jeszcze większą przesadą. Mam na myśli współczesnych pisarzy i innych autorów, którzy zaczęli mówić o klasie średniej tak, jakby jej domy były niemal zawsze prywatnymi zakładami dla obłąkanych, prowadzonymi przez wariatów, jakby w zamku kapelusznika zamieszkał wyjątkowo szalony lokator. Jest to groteskowe przejawskrawienie. Owszem, zdarzali się okrutni, egoistyczni rodzice. Przypominam sobie niewiele więcej niż trzy takie osoby w całym naszym dawnym środowisku, ale nawet do nich przyłgnęły niewłaściwe etykiety. Niektóre z tych osób mogły być religijnymi fanatykami. Pamiętam człowieka, który zamykał swoje córki jak więźniarki. Jedna z nich powiedziała: „Jemu

się wydaje, że nikt inny, poza nim samym i Herbertem Spencere-rem, w ogóle nie myśli". Przypominam sobie innego skrajnego radykała, orędownika wolności, tyle że nie w domu. Kwestia ta ma pewne historyczne znaczenie. Tyrani – religijni czy niereligijni – pojawiają się wszędzie. Jednak ten typ despoty był produktem tamtego okresu, kiedy to człowiek z klasy średniej kontrolował dzieci i służących, ale nie miał już credo, gildii, króla ani księdza, którzy mogliby kontrolować jego samego. Dla ludzi nad sobą był już anarchista, ale dla tych pod sobą – wciąż autokratą. W każdym razie był nienormalny i nikt z mojej rodziny nie był do niego w ogóle podobny.

Na obraz tego zapomnianego społeczeństwa z pewnością składał się w jakimś stopniu element purytański. Wśród moich krewnych przejawiał się on przeważnie raczej nielogiczną dezaprobatą pewnych form luksusu i wydatków. Ich stoły uginały się pod potrawami bardziej wyszukanymi, niż obecnie jadają arystokraci. Byli oni jednak przekonani, że raczej nie na miejscu jest jeżdżenie dorożką; być może dlatego, że stawiali sobie za punkt honoru nie małpować arystokracji. Pamiętam, jak mój prawie osiemdziesięcioletni dziadek, który mógł sobie pozwolić na wiele dorożek, stał na ulewnym deszczu, podczas gdy obok przejechało siedem lub osiem zatłoczonych omnibusów. Później powiedział do mojego ojca (ściszonym głosem, żebym nie słyszał tego bluźnierstwa): „Gdyby przejechały jeszcze trzy omnibusy, na mą duszę, chyba wziąłbym dorożkę”. Jeśli chodzi o rozbijanie się dorożkami, jestem płamą na honorze rodziny, bo zdradziłem ideały swoich przodków. Co zaś do ich motywów, to jestem gotów ich

bronić albo przynajmniej stwierdzić, że są w dużej mierze niewłaściwie rozumiane. Moja rodzina to ostatni potomkowie pani Gilpin<sup>20</sup>, która kazała dorożce zatrzymać się w pewnej odległości od domu, by sąsiedzi nie pomyśleli, że się pyszni. Nie wiem, czy nie była lepsza od modnej damy jeżdżącej cudzym rolls-roycem, by sąsiedzi nie pomyśleli, że żyje skromnie.

Według mojej wiedzy tak wyglądał społeczny krajobraz, w którym się znalazłem, i taka była rodzina, w której przyszedłem na świat. Przykro mi, jeśli to społeczeństwo lub rodzina rozczarowują swoją przyzwoitością czy nawet rozsądkiem albo jeśli brakuje im tych wszystkich niemiłych cech, które sprawiają, że biografie stają się bardziej interesujące. Żałuję, że nie mogę przedstawić czytelnikom mrocznego i okrutnego ojca jako prawdziwej przyczyny całego mojego tragicznego dziedzictwa ani bladej i podtrutej matki, której samobójcze instynkty sprowadziły na mnie przekleństwo artystycznego temperamentu. Szkoda, że w mojej rodzinie nie było barwniejszej postaci niż daleki i ubogi wuj i że nie mogę przeklinać – jak to czynią współcześni – wszystkich, którzy sprawili, że jestem tym, czym jestem. Z pewnością najbardziej powinienem za to winić samego siebie. Muszę wyznaczyć, że na świat moich pierwszych dni patrzę z przyjemnością, która niewątpliwie powinna być zarezerwowana dla utopii futurystycznych. Jednak świat, który dziś sobie przypominam, nie był zupełnie pozbawiony wizjonerskiego i symbolicznego charakteru. Na koniec powracam pamięcią do miejsc, o których wspomniałem na

---

<sup>20</sup> Postać z ballady *The diverting history of John Gilpin* Williama Cowpera (1731-1800).

początku. W taki czy inny sposób stały się one symbolem wielu innych spraw w alegorii mojego życia: kościółek mojego chrztu i oszałamiająco wysoka wieża ciśnień, pozbawiona okien i z gołymi ścianami. Kiedy stałem pod nią, wpatrując się w niebo, zdawało mi się, że sięga aż do gwiazd. Być może było coś w owej zawilej i chaotycznej idei wieży z wodą, jak gdyby morze stało pionowo, niczym trąba wodna. Później, chociaż trudno powiedzieć, jak późno, z pewnością pojawił się w moim umyśle obraz gigantycznego węża wodnego, który mógł być wielkim węzem morskim i przypominał smoka z koszmarów. Ale nieopodal, niczym włócznia, stała wieża kościółka, który – jak zawsze sobie z radością przypominam – był pod wezwaniem świętego Jerzego.

